

KRÓLOWIE ŻYCIA



*Nie ten odnosi sukces, kto wczesnie rano wstaje,
ale ten, kto wstaje uśmiechnięty!*

— Mariusz Pujso

ROZDZIAŁ VIII

ROAD MOVIE

Marzenia o damie.
Nie jadę z Murzynami!
Gruchot i jego ekscentryczna właścicielka.
Pożegnania. Dwieście kilometrów na godzinę.
Pożar na stacji benzynowej.
Noc za kratkami.
Nie marnuję przygód.



Country roads, take me home, to the place I belong...
– śpiewałem z uczuciem.

– West Virginia, mounty momma... – wtórował Piotr. – Nie sądzisz, że mam akcent z Nashville? – spytał, gdy odśpiewaliśmy utwór do końca.

– Z Nashville? Chyba raczej z Mrągowa! – obruszyłem się. – To ja mam idealny akcent do piosenek country. Posłuchaj tylko, jak wymawiam słowo „country”. Jak Johnny Cash...

Podobnie jak wszyscy młodzi, polscy aktorzy, dla których zakazane były długie podróże, marzyłem, żeby choć raz w życiu wystąpić w prawdziwym westernie. Albo w filmie drogi. Bo road movie to kino wolności. Gatunek charakterystyczny przede wszystkim dla filmu amerykańskiego – podróż w nieznaną drogą po horyzont, która sama w sobie staje się sensem egzystencji. A jednocześnie wyprawa w głąb samego siebie, z której bohater wraca odmieniony, dojrzałszy. Najczęściej za to doświadczenie trzeba zapłacić najwyższą cenę.

Kilka razy oglądałem kultowego „Swobodnego jeźdźcę” w reżyserii Dennisa Hoppera i doskonale pamiętałem końcową scenę, gdy kamera, filmująca płonący motocykl „Kapitana Ameryki” powoli unosi się w górę, do nieba, pokazując z lotu ptaka sielski krajobraz.

Był to wspaniały „film drogi”. Mnie „film drogi” zaserwowało samo życie.

Telefon odebrała piękna, młoda kobieta – bo jaka inna mogła być posiadaczka takiego zmysłowego głosu?:

– Bonjour...

– Razem z kolegą chcieliśmy się zabrać z panią jutro do Salzburga... Czy ma pani jeszcze jakieś wolne miejsca?

Dzień wcześniej łamaliśmy sobie głowy, jak najtaniej odbyć tę podróż. Wtem przypomniałem sobie, że w Paryżu działa

taka instytucja jak „Hallostop”. Ktoś zgłaszał, że jedzie np. do Pragi i ma w samochodzie wolne miejsca, a ktoś inny – że chce do Pragi jechać. Po dogadaniu się uiszczano się jakąś niewielką kwotę i w drogę! Wszyscy byli zadowoleni – pasażerowie, bo tanim kosztem odbywali podróż, a kierowca, bo zwracały mu się koszty benzyny. W latach 80. samoloty były niesamowicie drogie, pociągi zresztą również. Zadzwoiłem więc do „Hallostop” i bingo! Dostałem numer telefonu do babki, która następnego dnia jechała do Wiednia przez Salzburg.

– Będzie mi bardzo miło zawieźć do Austrii dwóch młodych Polaków – dodała tak seksownym tonem, że zacząłem wyobrażać sobie naszą podróż w różowych barwach.

Ustaliliśmy, że spotkamy się następnego dnia o szóstej rano w holu hotelu przy Bastylli. Odłożyłem słuchawkę.

– Hurra! – krzyknąłem. – Piotrek! Jakaś fajna laska będzie nas wiozła! Musimy się ładnie ubrać, to może tak ją zbajerujemy, że zawiezie nas za darmo...

Następnego dnia umyliśmy się i ogolili starannie, spryskałiśmy hojnie wodą toaletową, włosy na brylantynę, najlepsze garnitury i z walizkami pojechaliśmy metrem w okolice Bastylli. Tak byliśmy wystrojeni, że jak szliśmy ulicą, to wszyscy się na nas gapili.

– Ciekawe, jaka ona będzie – niecierpliwiłem się.

Wyobrażałem sobie luksusową brunetkę po trzydziestce, ubraną w chanelowski kostium, pachnącą perfumami Diora. Miałem nadzieję, że mój urok osobisty tak na nią podziała, że zatrzymamy się w jakimś eleganckim przydrożnym hoteliku i spędzimy romantyczną, zmysłową noc... oczywiście na jej koszt. Bo niby od czego człowiek ma dobry bajer?

Przeszliśmy pięknymi ulicami dzielnicy Le Marais, niedaleko Bastylli. Skierowaliśmy się do hotelu. Był drogi i bardzo

nowoczesny. Weszliśmy do holu – nikogo. Rozsiedliśmy się wygodnie w skórzanych fotelach i czekaliśmy. Ładna recepcjonistka rozmawiała przez telefon, dyskretnie pijąc kawę. Z rosnącą niecierpliwością spoglądaliśmy na wiszący w recepcji zegar.

Po pewnym czasie zjawił się jakiś Murzyn, a potem drugi – obaj z okazałymi torbami. Usiedli naprzeciwko nas.

– Mam nadzieję, że nie będziemy z nimi jechali – powiedziałem ściszym głosem do Piotrka.

– A co ci to przeszkadza? – zdziwił się.

– Żebyś wiedział, że przeszkadza. Dopiero by nas Niemcy przetrzepali na granicy! Czarni najczęściej szmuglują! Jak tylko się trafi w samochodzie czarny pasażer, to celnicy potrafią rozebrać auto do ostatniej śrubki...

Zacząłem uważnie przyglądać się naszym sąsiadom. Ciekawe, co oni tam mają w tych swoich tobołkach? Pewnie narkotyki!

– Tak czy inaczej, nie będę z tymi śmierdziuchami jechał przez całą Europę – oświadczyłem zdziwionemu Piotrkowi.

– Z jakimi śmierdziuchami? Co ty gadasz?

– Murzyni specyficznie pachną. Nie wyobrażam sobie kilku godzin zamknięcia w tym smrodzie.

– Każdy specyficznie pachnie, jak się spoci!

Gdy prowadziliśmy tę antropologiczną dysputę, nagle jeden z Murzynów pochylił się w naszym kierunku i odezwał się najczystsza polszczyzną:

– Nie zawsze trzeba wierzyć we wszystko, co mówią o czarnych. Jedne rzeczy może są prawdziwe, inne nie, ale na pewno nie śmierdzimy bardziej niż Polacy! – Oniemieliliśmy z wrażenia! Skąd on zna język polski?!!

Wstał. Okazało się, że posturą przypomina Cassiusa Claya.

Zaczęliśmy go jeden przez drugiego przeproszać, uspokajać. W takich przypadkach lepiej zastosować daleko idący pragmatyzm. Po kilku minutach Murzyn usiadł z powrotem na fotelu, założył nogę na nogę i zaczął mówić o sobie. Studiował w Polsce politologię, a teraz otworzył przewód doktorski w Wiedniu. Strasznie się spieszył do Austrii, bo tego dnia o północy kończyła mu się wiza na Austrię i Niemcy. Patrzyłem na niego z otwartymi ustami. Doktorat, no, no...

– Mam na imię Maurice – przedstawił się – Czekam na taką jedną panią. Ona ma mnie zawieźć do Wiednia – wyjaśnił.

– Z Hallostop? – odpowiedziałem niby to przyjaźnie, ale tak naprawdę byłem wściekły. „No, nieźle się zaczyna” – pomyślałem.

Okazało się, że drugi Murzyn o imieniu Didier też z nami jechał – miał nagrany pracę w Wiedniu. Zacząłem się wewnętrznie gotować. Nie dość, że pojedziemy z dwoma Murzynami, to jeszcze nasza szoferka się spóźnia! Spojrzałem na Piotra. Dusił w sobie śmiech. „O ileż łatwiej się żyje – pomyślałem – takim pogodnym, bezrefleksyjnym typom. Co on widzi zabawnego w tej sytuacji?”

W tym momencie do hotelu weszła ładna, młoda kobieta ubrana w elegancki kostium. Wyglądała zupełnie jak dama z moich marzeń. Siadła na fotelu niedaleko nas. To na pewno ona! Już podnosiłem się z kanapy, gdy przysiadł się do niej jakiś mężczyzna i zaczęli się namiętnie całować.

Nasza była dużo brzydsza. Zjawiła się dopiero o w pół do ósmej. Zjawiła się – to mało powiedziane – po prostu wpadła jak bomba do holu. Ze 25 lat, trochę przy kości, temperamentna, ubrana jak studentka uczelni artystycznej.

– Założę się, że panowie na mnie czekają? – uśmiechnęła się. – To poproszę o pieniądze.

– No i jak, jedziemy? – Maurice energicznie poderwał się z miejsca. – Tylko czy na pewno będziemy na czas? Tak jak żeśmy się umawiali przez telefon. Mówiłem pani, muszę koniecznie wjechać do Austrii przed dwunastą w nocy... bo mi się wizy kończą. A pani spóźniła się ponad dwie godziny!

– Po pierwsze, to ja nigdy się nie spóźniam – przerwała mu energicznie kobietka. – A nawet jeśli przyjdę trochę później, to widocznie mam ważne powody. Po drugie twoja wiza to twój problem, a nie mój, a po trzecie...

– Jak to, mój problem? – oburzył się Maurice. – Ja pani to wszystko wyjaśniałem i pani powiedziała, że nie ma kłopotu. Gdybym wiedział, że to tak będzie wyglądać, to bym sobie jakiś inny transport załatwił!

– Widocznie nie zrozumieliśmy się – oświadczyła nie tracąc pewności siebie. – Tak czasami bywa, jak ktoś nie jest Francuzem i mówi słabo po francusku...

– Nam też się spieszy – poparłem Maurice’a, bo denerwowała mnie jej bezczelność.

– Jak się człowiek spieszy to się diabeł cieszy, ha, ha, ha! – wybuchnęła śmiechem.

– Nie kłóćmy się. Najważniejsze, że pani w ogóle jest. Prawda? – Maurice wstał, a jego pakunki wysypały się na ziemię. Nieporadnie próbował je zbierać. Uczynny Piotr rzucił się do pomocy.

– O, właśnie, i tak trzeba było zacząć. A teraz poproszę od każdego po 250 franków.

– Ile?! – zdziwiłem się. – Miało być 200. I to ma być tanio??? To ile wychodzi za kilometr?

Zdawała się nie zwracać uwagi na moje słowa, pisała coś na kartce.

– Dokładnie 250 franków – odrzekła.

– Co?! Ta kobita ocipiała! 250 franków!? To niemożliwe! A tak w ogóle, jeżeli można... Ile jest z Paryża do Wiednia kilometrów?

– Zależy jaką drogą się jedzie. Moją trasą wychodzi przejazd za 250 franków – upierała się. – I nie będziecie mnie uczyli geografii.

W odróżnieniu od was, jeżdżę do Austrii bardzo często – ale jak chcecie możemy to razem obliczyć.

– Bracia, czy to ważne kilka kilometrów w tę czy w tamtą? – Maurice co chwila zerkał na zegar. – Chodzi o to, żeby dojechać na czas do celu, prawda?

– Nie, proszę dokładnie wszystko policzyć. – stwierdziłem stanowczo. – Nie mam zamiaru płacić więcej niż to było ustalone.

– Panowie – Maurice zwrócił się do mnie i Piotra. – Bądźmy ludźmi... No... proszę? – patrzył błagalnym wzrokiem. – Pośpieszmy się, dobrze? Płacę te 250. Ale do północy muszę być na miejscu...

– I po co ta strata czasu? – uśmiechnęła się kobieta.

Kiedy Maurice wyciągnął pieniądze z torebki zawieszanej na szyi, ja z Piotrem dyskutowałem na boku.

– Słuchaj, Piotr, to oszustka. Ja z nią nigdzie nie jadę.

– A co mamy teraz zrobić? To ty nas w to wpakowałeś to przynajmniej rób teraz dobrą minę do złej gry – powiedział. – To był przecież był twój pomysł, nie?

– Może pojedziemy inaczej?

– Jak inaczej? Pociągi i samoloty za drogie.

Miał rację – poddałem się. Kobieta szybko wzięła nasze pieniądze. Kiwnęła ręką na jakiegoś przygarbionego faceta koło sześćdziesiątki – z wyglądu Araba. Ten wyciągnął z teczek jakieś papiery i zaczął je podpisywać. Baba jest stuknięta... –

pomyślałem. – Będziemy jechać w sześć osób?!

– To wszystko? Zgadza się? – usłyszałem głos dziewczyny. Starszy facet skinął głową, a z kolei ona podpisała jakieś dokumenty. Wyciągnęła z kieszeni pieniądze, które przed chwilą od nas otrzymała. Mężczyzna uważnie przeliczył kasę. Kiwnął potakująco głową, po czym schował pieniądze do kieszeni. Podszedłem dyskretnie do stolika, żeby podsłuchać ich rozmowę.

– Karta wozu, kluczyki i reszta dokumentów. – Arab wręczył to wszystko kobiecie. – Samochód należy do pani. Życzę szerokiej drogi.

– No, to teraz możemy ruszać! – powiedziała ucieszona kobieta.

– Co pani robiła? – wyjąkałem zdziwiony. – Za nasze pieniądze kupiła pani samochód?!

– A kupiłam....

– Co!!! To pani dopiero teraz kupuje samochód? I to za naszą kasę? Samochód, którym będziemy jechali przez całą Europę???

Wzruszyła ramionami.

– Pani sobie z nas żartuje. Ja nigdzie nie jadę. Oddawaj, babo, nasze pieniądze – spróbowałem wyrwać jej torebkę. Zaczęliśmy się szamotać.

– Nie mam – oburzyła się. – Przecież kupiłam auto! Było gdzieś napisane, że muszę mieć samochód od roku? – wściekła się. – Może pan nie jechać. Ja nikogo nie namawiam na siłę. Mam bardzo wielu chętnych. A jak nie, to proszę jechać pociągiem lub samolotem. Będzie o wiele krócej i na pewno szybciej. No, to jak? – popatrzyła na nas po kolei.

– Ja muszę jechać – odpowiedział Maurice – O 24.00 kończy mi się wiza, a jest już prawie 10.00. Jak się nie zjawię jutro

rano na uczelni, to wylecę! Mam ważny egzamin!

– Ja też jadę, do pracy – powiedział drugi Murzyn. – Zapłaciłem, to mi się należy jazda, no nie?

– Mariusz, jedźmy – Piotrek spróbował mnie uspokoić. – W końcu to przygoda.

W toalecie przebraliśmy się w codzienne ciuchy. Wyszliśmy z hotelu i ruszyliśmy za kobietą, maszerującą zdecydowanym krokiem. Spoglądaliśmy na wspaniałe samochody, stojące obok hotelu w nadziei, że będziemy jechać którymś z nich. Tymczasem...

– O, żesz ty w mordę... – powiedziałem z niedowierzaniem, spoglądając na nasz wehikuł, stary mercedes 220. – Będziemy tym gratem jechać przez pół Europy? – wściekłem się – Czy pani zwariowała?

Dziewczyna poklepała auto.

– Cacuszko. Wspaniała rzemieślnicza robota... Lata 70. Dzisiaj już się nie robi takich samochodów.

To była ruina – odrapany ze wszystkich stron, miał pogiętą, zardzewiałą karoserię. Lewe światło było stłuczone, wycieraczki połamane, zderzaki ledwo się trzymały, a drzwi domykały z charakterystycznym, przeciągłym jękiem. Przypomniała mi się polska komedia „Nie lubię poniedziałku” i zdezelowana syrenka rzeźbiarza. O ile pamięć mnie nie myliła, ta syrenka była w lepszym stanie, niż nasz stalowy rumak.

– To jeździ? – dopytywał się ciekawie Piotr.

– Tak, z górki... – szydziłem. – Jak popchniesz!

– U nas w Afryce mówią, że stare mercedesy są nie do zdarcia – rzucił Maurice.

Popatrzył skonsternowany na rączkę od bagażnika, która została mu w ręku. Kobieta wyciągnęła z torby pilnik do paznokci i na siłę otworzyła klapę, która wydała przeraźliwy

zgrzyt. Włożyliśmy swoje rzeczy do bagażnika – tym razem nie chciał się zamknąć. Maurice jak MacGyver wyjął z kieszeni sznurek i zgrabnie związał klapę z podwoziem. Afrykańska klasa! Następnie spróbowaliśmy otworzyć tylne drzwi. Ciężko to szło, ale po chwili ustąpiły z żalosnym jękiem. Zajrzałem do środka – siedzenia lepiły się z brudu, cały tył zaśłany był śmieciami, pustymi puszkami po piwie, papierkami po batonach.

– Widać, że nikt nie sprzątał tego samochodu od wielu lat – narzekałem, wykopując ze środka co większe śmieci.

W końcu jednak wsiedliśmy do auta. Co z tego, skoro przez pół godziny silnik nie chciał zapalić.

– Cacuszko, co? – pozwoliłem sobie na drwinę. Kobieta nie odezwała się ani słowem. Silnik rzeził, rzeził, ale nie zapalił. Cały samochód trząsnął się jak w wesołym miasteczku.

Wreszcie Didier siedzący z przodu nacisnął na przycisk „ssanie”. Silnik zaczął się krztusić i nagle maszyna odpaliła. Z rury wydechowej wyleciał olbrzymi kłęb dymu zasłaniający wszystko, co znajdowało się wokół nas w promieniu kilku metrów. Mercedes ruszył do przodu, zahaczając zderzakiem o elegancki samochód stojący z przodu.

– No i co niedowiarki! Trzeba umieć jeździć po parysku. – Kobieta popatrzyła na mnie w lusterku.

– Oby do przodu – popędzał Maurice. – Oby do przodu.

Kobiecie udało się w końcu wyjechać na główną ulicę. Po stu metrach skręciła nagle w małą uliczkę i gwałtownie zahamowała. Wszyscy poleciliśmy do przodu. Ulica była zagrodzona metalowymi barierkami strzeżonymi przez policję. Jakiś funkcjonariusz ruszył w naszą stronę.

– No, nie! Tylko nie policja! – spanikował Maurice.

– Panie władzo! – kobieta otworzyła okno. – Chciałabym tędy przejechać.

zgrzyt. Włożyliśmy swoje rzeczy do bagażnika – tym razem nie chciał się zamknąć. Maurice jak MacGyver wyjął z kieszeni sznurek i zgrabnie związał klapę z podwoziem. Afrykańska klasa! Następnie spróbowaliśmy otworzyć tylne drzwi. Ciężko to szło, ale po chwili ustąpiły z żalosnym jękiem. Zajrzałem do środka – siedzenia lepiły się z brudu, cały tył zasłany był śmieciami, pustymi puszkami po piwie, papierkami po batonach.

– Widać, że nikt nie sprzątał tego samochodu od wielu lat – narzekałem, wykopując ze środka co większe śmieci.

W końcu jednak wsiedliśmy do auta. Co z tego, skoro przez pół godziny silnik nie chciał zapalić.

– Cacuszko, co? – pozwoliłem sobie na drwinę. Kobieta nie odezwała się ani słowem. Silnik rzeził, rzeził, ale nie zapalił. Cały samochód trząsł się jak w wesołym miasteczku.

Wreszcie Didier siedzący z przodu nacisnął na przycisk „ssanie”. Silnik zaczął się krztusić i nagle maszyna odpaliła. Z rury wydechowej wyleciał olbrzymi kłęb dymu zasłaniający wszystko, co znajdowało się wokół nas w promieniu kilku metrów. Mercedes ruszył do przodu, zahaczając zderzakiem o elegancki samochód stojący z przodu.

– No i co niedowiarki! Trzeba umieć jeździć po parysku. – Kobieta popatrzyła na mnie w lusterku.

– Oby do przodu – popędzał Maurice. – Oby do przodu.

Kobiecie udało się w końcu wyjechać na główną ulicę. Po stu metrach skręciła nagle w małą uliczkę i gwałtownie zahamowała. Wszyscy poleciliśmy do przodu. Ulica była zagrodzona metalowymi barierkami strzeżonymi przez policję. Jakiś funkcjonariusz ruszył w naszą stronę.

– No, nie! Tylko nie policja! – spanikował Maurice.

– Panie władzo! – kobieta otworzyła okno. – Chciałabym tędy przejechać.

Gliniarz oświadczył, że to niemożliwe. Cała dzielnica była zamknięta. Jak zwykle we Francji, strajkowały związki zawodowe.

– Ale ja muszę... Proszę bardzo, niech pan zrobi dla mnie wyjątek... – zrobiła słodką minkę i uśmiechnęła się do policjanta. Nasza czwórka powtórzyła jej grymas, z tym że, w przeciwieństwie do kobiety, nie wyszło nam to zbyt naturalnie.

– A pani pasażerowie to kto? – zapytał policjant.

– Panie władzo, to biedni emigranci. Pracuję w Stowarzyszeniu Pomocy Emigrantom i właśnie wiozę ich do rejestracji – wyjaśniła kobieta, a my popatrzyliśmy ze zdumieniem po sobie. Co za krętaczka! Nawet się nie zająknęła.

– Dobra, jedźcie! – Policjant machnął ręką i dał znak swoim ludziom, żeby otworzyli barierki. Mercedes przejechał i barierki znowu się zamknęły.

– No, to teraz jedziemy po moje rzeczy. Chyba nie wyobrażaliście sobie, że wyprowadzę się z Paryża tylko z tym, co mam na sobie? – oświadczyła kobieta.

– Pani się wyprowadza? Dlaczego? – zaciekawił się Piotr.

– Jadę na ślub. Mój narzeczony jest Grekiem. Będziemy mieszkać w Atenach – poinformowała z dumą.

Podjechaliśmy pod jej dom. Poprosiła, żebyśmy jej pomogli, to będzie szybciej.

– Księżniczka się, kurka wodna, znalazła... – narzekałem, gdy wdrapywaliśmy się za nią na czwarte piętro. – Tak jakby nie mogła sama ponieść swojej walizki.

Kobieta otworzyła drzwi i wpuściła nas do środka. Staaliśmy w osłupieniu. W przedpokoju leżało kilka walizek, a ponadto kartony, buty, wieszaki z ciuchami i klatka dla kota, który biegał po całym mieszkaniu jak przysłowiowy „kot z pę-

cherzem” Przerażeni popatrzyliśmy na siebie w milczeniu.

– Ja chyba śnię! Kobito, trzeba było sobie kupić ciężarówkę. Albo traktor z naczepą!

– Znowu zaczynasz? – uspokajał mnie Piotr. – Myśl pozytywnie...

– Jak pozytywnie? A co to my Cyganie jesteśmy, czy co?

– Proszę pani... – Maurice podszedł do kobiety – My się z tym nie zabierzemy.

– Proszę się nie martwić, zabierzemy się i zdążymy na czas. Do granicy będziemy jechali góra dwie godziny. Potem przez Niemcy następne pięć, a przez Austrię to już tylko godzinka. Wychodzę za mąż i przysługuje mi mienie przesiedleńcze. Więc normalne, że chcę zabrać jak najwięcej rzeczy. A kota przecież nie zostawię?

Samochód został zawalony po sam dach walizami i kartonami. Na środku tylnego siedzenia siedziałem ja, po dwóch stronach mając Piotra i Maurice’a. Z boków bagaże były powciskane na styk, prawie nas nie było widać. Nasze twarze niemal przylegały do siebie policzkami. O dziwo, ze strony Maurice’a nie czułem żadnego fetoru, tylko woń wody po goleniu. Albo złość zaburzyła mój zmysł węchu, albo doniesienia na temat zapachu Murzynów były przesadzone. Didier siedział z przodu i byłoby mu nawet stosunkowo wygodnie, gdyby nie wielka klatka z kotem, którą trzymał na kolanach. Kot bez przerwy miauczał, widocznie nie lubił podróży. Ze zdenerwowania załatwił się, a wewnątrz samochodu wypełnił nieznośny smród.

– A nie mówiłam? Wszystko wlało bez problemu – kobietka wydeła pogardliwie usta. – Jestem mistrzynią w pakowaniu. Pracowałam kiedyś w firmie przewozowej.

Przekręciła kluczyk. Samochodem rzuciło parę razy, ale nie

zapalił. Ponowiła próbę, bez rezultatu. Czekaliśmy cierpliwie, w końcu już przerabialiśmy ten motyw. Kilku młodych ludzi, od dłuższego czasu z zainteresowaniem obserwujących nasze poczynania, podeszło do auta i mocno je popchnęło. Znów buchnął gęsty, czarny dym – ruszyliśmy. Ujechaliśmy jakieś dwieście metrów, gdy baba się zatrzymała. Wysiadła z auta, żeby pożegnać się z jakąś dziewczyną, która stała na rogu.

– Co za koszmarny babsztyl! – darłem się. Ależ byłem na siebie zły, że dałem się tak naciąć! Pomyślałem, że to chyba kara za wszystkie moje grzechy popełnione w Paryżu. A zwłaszcza za wkręcanie Piotra na planach filmowych.

– Spróbuj ją zrozumieć – zaproponował Piotrek. – Przecież wyjeżdża na zawsze...

Zamilkłem z postanowieniem, że przez całą drogę już się nie odezwę słowem.

Znów podróż nie trwała długo – ujechała jakieś kilkaset metrów i wtedy coś ogłuszająco strzeliło.

– Jezu, a co to?! – Maurice przerażony podskoczył.

– Chyba złapaliśmy gumę – wyjaśniłem.

Wysiedliśmy z mercedesa. Podeszliśmy do tylnego koła. Faktycznie. Flak. Nasza szoferka jakby nigdy nic podeszła do apteki i zawołała jakąś kobietę. Obie zaczęły się serdecznie ścisnąć i coś sobie opowiadać. Staliśmy jak wryci, patrząc na plotkujące kobiety. Pomyślałem sobie, co z nami będzie, jak ta wstrętna baba teraz zacznie się żegnać z całym miastem! Nasza Francuzka popatrzyła na nas ze zdziwieniem.

– Co się tak gapicie? – rzuciła do nas. – Może byście się zajęli kołem? Przecież ja się nie rozdwoję – i wróciła do plotek.

Cóż było robić, musieliśmy zacząć od wypakowania wszystkich rzeczy z bagażnika. Maurice tymczasem odkręcił uszkodzone koło od samochodu, który podniósł na lewarku. Jak na

faceta, który nigdy nie miał do czynienia z autem, zrobił to nad wyraz zręcznie. Zdjął koło i dotoczył je do bagażnika. Miało kompletnie zdartą oponę. Spostrzegłem, że całkowicie była pozbawiona bieżnika. Kucnąłem i przeczytałem uważnie napisy na boku. Nic dziwnego, że strzeliła – miała dwadzieścia lat.

Zapasowe koło było zamontowane pod podłogą bagażnika auta, Piotr znalazł je po półgodzinnym poszukiwaniu. Niestety, opona okazała się jeszcze bardziej łysa od tej, która pękła. Nie było wyjścia – założyliśmy łysola. Z przerażeniem myślałem o dalszej podróży. A jeśli zacznie padać? Czy ta baba ma jakiegokolwiek pojęcie o poślizgach kontrolowanych? Gdy produkowano nasz samochód, naukowcom nie śniło się jeszcze o ABS. Wepchnęliśmy z powrotem do bagażnika wszystkie bagaże. Oczywiście nie mogliśmy go zamknąć. W końcu na siłę docisnęliśmy klapę wskazując na nią we czterech naraz, po czym zwiąaliśmy ją sznurkiem.

– Chciałbym zaznaczyć, że jeździmy z panią od rana – powiedział Maurice, kiedy wreszcie wróciła do auta – a pokonał trzy przecznice. Pani się zachowuje jak na niedzielnym spacerze: znajomi, ploteczki...

– Siedzimy w tym wraku jak sardynki w konserwie – rzucił Didier.

– W przeterminowanej konserwie – dodałem, marszcząc nos. Chętnie ukręciłbym łeb temu śmierdzącemu kotu. Albo jego zwariowanej właścicielce.

Kobieta zerknęła na nas w lustrze i nagrodziła nas uśmiechem.

– Kultura polega na tym, że jak ktoś ma przyjaciół, to się z nimi żegna. Jeśli się to komuś nie podoba, może wysiąść... Czy są jeszcze jakieś pytania? – popatrzyła się po wszystkich twarzach po kolei. Mieliśmy głupie miny. Nikt się nie odezwał.

– I to lubię! – powiedziała. Ruszyliśmy. Skierowaliśmy się na obrzeża Paryża. Zatrzymała się przed zakładem fryzjerskim. Pewnie pójdzie sobie zrobić fryzurę na ślub – pomyślałem.

– Otwórz szybę – poprosiła Didiera. Po wielu staraniach i walce z kocia klatką udało mu się wreszcie spełnić jej życzenie. Zobaczyliśmy salon fryzjerski, a w nim faceta w średnim wieku, czeszącego jakąś kobietę.

– Claude! – krzyknęła. Ale znajomy nie zareagował.

– Claude! – ponowiła krzyk.

– Claude! – ponownie krzyknęła tak, że chyba uszkodziła bębenki w uchu Didiera. I znowu bez reakcji.

Nagle ni stąd, ni zowąd siedzący do tej pory spokojnie Didier krzyknął na cały głos przez uchyloną szybę w kierunku fryzjera.

– Cllllaaaauudeeeeeee!

Zrobił to tak głośno i niespodziewanie, że wszyscy na czele z kotem dostaliśmy palpacji serca. Ale poskutkowało. Claude usłyszał i podszedł do naszego samochodu.

– Wyjeżdżasz, a zarejestrowałaś samochód? Inaczej nie wpuszczą cię do Niemiec – oświadczył.

No, pięknie! – obruszyłem się w duchu. Ale cóż, prawo jest prawem – pojechaliśmy do urzędu miasta. Z piskiem opon kobieta zatrzymała samochód przed okazałym budynkiem. Wszystkich rzuciło do przodu. Większość rzeczy zmieniła swoje miejsce. Przeróżne przedmioty powypadały z walizek, toreb i siatek, tworząc we wnętrzu jeden wielki miszmasz. Wysiadła i pobiegła w kierunku magistratu. W milczeniu odprowadziliśmy ją wzrokiem, po czym zaczęliśmy szukać swoich rzeczy, które się pomieszały z mieniem przesiedleńczym.

– I co robimy? – zapytałem. – Może pojedziemy na policję?

– Tylko nie na policję! – wrzasnął Maurice. – Jak ci nas prze-

trzepią, to nigdy nie dojedziemy do Austrii. A ja muszę być tam dzisiaj!

– Przestań ciągle lamentować!. „Co ja zrobię, wyrzucą mnie ze studiów!” – sparodiowałem go, bo coraz bardziej mnie wnerwiał. – Myślisz, że tylko ty jeden na całym świecie masz kłopoty. Od samego początku trujesz nam głowy swoimi sprawami. Wiesz, jakie to poświęcenie dla mnie, siedzieć koło ciebie?

– A wiesz jakie dla mnie, siedzieć koło ciebie?

– Przestańcie się kłócić – zdenerwował się zwykle opanowany Piotr. – Proponuję, żebyśmy się naradzili, dobrze? Co wiemy na pewno?

– Na pewno wiemy, że pinda jedna pieniędzy nam nie odda – odrzekłem.

– Na pewno innego środka lokomocji dzisiaj nie znajdziemy – stwierdził Maurice.

– Proponuję głosowanie. Kto chce zostać, niech podniesie rękę do góry – zarządził Piotr.

Wszyscy popatrzyliśmy po sobie. Chciałem wyciągnąć rękę spod siedzenia, ale nie dałem rady, taki był ścisk.

– A ty co? – powiedział Piotr. – Nie wyłamuj się. Masz inną propozycję?

– Muszę do toalety!

– Tylko nie tutaj, bracie... – Maurice odsunął się ode mnie ze wstrętem, najdalej, jak tylko mógł.

– Otworzyć! Pomóżcie mi otworzyć drzwi... – prosiłem.

Bez powodzenia walczyłem z klamką, która po chwili ode-
rwała się i została w moim ręku. Ponowiłem próbę z oknem.
Szyba delikatnie opuściła się do połowy. Nagle obok naszego
samochodu zatrzymała się piękna limuzyna. Wsiadło z niej
małżeństwo z trójką dzieci. Otworzyli obszerny bagażnik

i wyjęli z niego rowery. Ale gablota! – westchnąłem w duchu – Taką to dopiero można by jechać po calusieńkiej Europie.

– Przepraszam, halo! – udało mi się przez wpół otwarte okno zagadać do przechodzących obok dzieci. – Pomożecie? – spytałem – Drzwi się zatrzasnęły i nie możemy otworzyć.

Dzieci popatrzyły na siebie i jedno z nich złapało za klamkę. Zaczęło się szamotać – drzwi jednak nie ustąpiły.

– Ale numer, a jak żeście tam weszli? – zapytała ciekawie dziewczynka.

– Zablokowały się – wyjaśnił Piotr. – Troszkę mocniej... za-
przyjcie się wszystkie... śmiało, jeszcze trochę...

Zamek wreszcie puścił i drzwi wyskoczyły z zawiasów. Z samochodu wypadł Piotr, a za nim lawina tobołków i rzeczy osobistych. Wśród nich – damska bielizna i dwie butelki wódki. Dziewczynka podniosła czarny, koronkowy biustonosz i przyjrzała mu się z zainteresowaniem. My też. Miseczka miała rozmiar „E”. Dzieci ze śmiechem pobiegły do rodziców.

– Mamo, zobacz, ci panowie noszą biustonosze! – krzyczała jedna z dziewczynek.

– To na pewno transwestyci – stwierdziła druga.

– I pijacy... – dorzucił chłopczyk, kopiąc butelkę jak piłkę.

Piotr zgięty w pół z powodu ścisku w samochodzie, powoli próbował wyprostować swoje dwa metry. Sądząc po jego minie sprawiało mu to niemały ból. Następnie z samochodu wygramoliłem się ja, a za mną Maurice. Dzieciaki i ich rodzice patrzyli na nas ze zdumieniem i obawą. Na ich oczach pobiegłem zgięty w pół za najbliższe drzewo.

– Zgroza! Świnie! Kiedyś było to nie do pomyślenia. Co z tą Francją?! Co będzie z naszymi dziećmi? Widziałeś te twarze? Zboczeńcy. Jeszcze trochę, a zaleje nas fala emigrantów.

– E tam, przesadzasz... Jacy oni tam zboczeńcy i emigranci?

– zapytał mężczyzna. – To są normalni ludzie, tylko bardzo biedni.

– Biedni, to niech idą do pracy! Jedziemy stąd. Dzieci do samochodu! Już nigdy moja noga nie postanie w tym parku!

Rodzina z powrotem spakowała rowery do samochodu. Po chwili odjechali. Z tylnego siedzenia dzieciaki grały nam na nosach.

– Co się tu dzieje? Na pikniku jesteście? To nie wczasy! – zjawiała się nasza szoferka z jakimiś papierami pod ręką. – Ruśzamy natychmiast!

Poupychała nas znowu w aucie i ruszyliśmy. Po kilku kilometrach stwierdziłem, że chyba przegapiła zjazd na autostradę.

– Muszę najpierw zrobić badania techniczne, żeby zarejestrować auto – wyjaśniła.

– Jakie badania techniczne? – wściekliśmy się wszyscy chóralnie.

– Samochód ma więcej niż pięć lat – powiedziała. – I musi mieć obowiązkowe badania techniczne. To nie dziki kraj, tylko Francja. Tutaj dba się o bezpieczeństwo. Jedziemy do zakładu!

Podszedł do nas kierownik warsztatu wytarł ręce w brudną szmatę i wziął się do roboty. Otworzył klapę od silnika.

– Pani chyba zwariowała – roześmiał się. – Ten samochód nie nadaje się do jazdy – Popatrzył na nas i włączył starter. Samochodem zaczęło rzucać we wszystkie strony. Mechanik zgasił silnik i pokręcił głową. – Proszę mi wierzyć, to trumna na kółkach. Wystarczy spojrzeć. A nawet gdybym miał go dokładnie sprawdzić, to i tak nie dam dziś rady – mam jeszcze trzy auta do zrobienia.

Kobieta upierała się, że musi mieć kontrolę techniczną i to od razu.

– Od razu to mogę wam wystawić zaświadczenie zgonu do zakładu pogrzebowego. W tym samochodzie nic nie działa..

– Do cholery! Co mi pan tu za głupoty opowiada, ja się znam na samochodach! – kobieta wsiadła do samochodu trzaskając drzwiami.

– Jakiś walnięty facet! – siadła za kierownicą. – Jedziemy do innego serwisu.

Po godzinie znaleźliśmy inny warsztat. Tym razem mechanik był nieco starszy.

– Nic z tego – oznajmił na wstępie. – Za dużo przy nim roboty. Nic pani nie poradzę. Rozumiem, że obcokrajowcy, to widać, ale...

– Błagam pana... Przecież to nic takiego! Ja... widzi pan, ja pracuję w fundacji pomagającej emigrantom. Niech pan zobaczy, ci biedni ludzie zza wschodniej granicy i z Afryki potrzebują naszej pomocy. Jadą na ważne sympozjum i ja nie mogę zawieźć ich zaufania... zaufania, które dali nam, Francuzom. Muszę mieć to zezwolenie, bo mi nie przerejestrują samochodu.

Gruby mechanik popatrzył uważnie na naszą czwórkę.

– Nie wstyd pani? W jakich warunkach wy ich przewozicie! Jak zwierzęta! Co oni sobie o nas pomyślą? Zakładacie jakieś bzdurne fundacje, bierzecie kasę, a potem traktujecie tych biedaków jak bydło – zerknął na smutną twarz kobiety. – Cały silnik trzeba wymienić.

– E... tam... pieprzę to wszystko... – machnęła ręką. – Jedziemy! – wściekła ruszyła w kierunku autostrady.

Wybiła godzina dziewiętnasta.

– Może jakimś cudem zdążymy – Maurice cieszył się jak dziecko. Wreszcie w drodze!